NOWINY TYGODNIA

SOBOTA
16. II. 1957 r.
Nr 6 (350)

DODATEK SPOŁECZNO KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

JESZCZE RAZ O TYM SAMYM

Największym problemem dla dziennikarza — mawia mój znajomy — jest nie polityka, ekonomika, chuligaństwo, te jakoś się tam rozgryza, ale świetlice. Tyle artykułów napisano, narad odfajkowano, pieniędzy utopiono w błocie, a one wiecznie albo zamknięte, albo ludzie omijają je jak nieszczęście. Niektórzy „mędrcy świata" proponowali zamknąć te zmory, które stoją ciągle przed oczyma opiekunów kultury z rad narodowych. Inni udzielają im łaskawej amnestii i twierdzą, że ten problem w praktyce sam powinien się rozwiązać.

Ja natomiast jestem zdania — twierdzi mój znajomy — że nad problemem świetlic warto się jednak zastanowić. Lubię rzecz pojmować historycznie, chociaż nie jestem historykiem. Wprawdzie historia świetlic nie jest najdalekawsza, niemniej jednak, jeżeli chcemy wysnuć wnioski na przyszłość, musimy ją sobie przypomnieć.

W dawnych, zamierzchłych czasach, kiedy nie znano jeszcze nazwy świetlica — ona wprawdzie nie jest najważniejsza — na wsi budowano jedną salę lub w zależności od zamożności wsi, duży dom pod nazwą Dom Ludowy i przeznaczano go na zebrania. Nie były to zebrania w naszym nowoczesnym pojęciu, na których odczytuje się sążniste, nudne referaty. Tu schodzili się ludzie wieczorami i spędzali je na ciekawych rozmowach, dyskusjach, młodsi uczyli się tańczyć, śpiewać, grać. Instrumenty zakupywała cała wieś lub każdy dla siebie. Budynek też budowała wieś za pieniądze najczęściej składkowe i cała wieś dom utrzymywała. Co mądrzejsi chłopi lub nauczyciele byli kierownikami. Pomoc państwa była minimalna. Przypominam sobie, jak przyjemnie i miło spędzaliśmy wieczory w domu ludowym. To jedna karta z historii.

Drugi okres to już nazwa nowoczesna, świetlice i domy kultury na wsi. Świetlice nie wiem dlaczego podzielono na wzorcowe i zwykłe. Wzorcowe ze zwykłymi miały oprócz wielu i ten punkt styczności, że tak jedne jak i drugie ziały pustkami. Zalała je wielka propaganda od problemów krajowych poczawszy, na zagranicznych skończywszy. Wyznaczało się plany pracy, które w praktyce były fikcją. W świetlicach wzorcowych zastąpiono społecznie pracującego działacza kulturalnego na płatnego świetlicowego nie mającego nic wspólnego z kulturą, nie znającego bardzo często wsi, bez wykształcenia i żadnej praktyki. Ludzi tych zatrudniono, płacono im, oni zaś nic nie robili lub nie mogli wiele zrobić, wyrzucano pieniądze w błoto. Odsunięto od pracy starych działaczy, obciążono różnymi pracami nauczycieli. Nie pomogły radia i adaptery, a nawet pralki, które zakupywano do niektórych świetlic, w celu ściągnięcia do nich ludzi. Tworzone na siłę zespoły przed eliminacjami po krótkim okresie czasu rozpadały się. Narzucane sztuki teatralne dla zespołów amatorskich nie wytrzymały prób by. Zapał szybko mijał. To w dużym skrócie historia drugiego okresu, według mego podziału.

Polityka świetlicowa, którą prowadziliśmy przez dość długi okres zawiodła. Tak jak nasza polityka w wielu dziedzinach. Myślenie zamieniliśmy na bezmyślne wzorowanie się. Skupiliśmy gdzieś tam w górze ludzi, którzy mieli wyłączny monopol na myślenie, wydawanie zarządzeń, ustalanie planów, a normalnie przeciętni szaraczkowie mieli je tylko wykonywać. Przyszedł jednak okres, kiedy myślenie ma przyszłość jak potocznie mówi się w rozmowach. Toteż teraz wszyscy, których interesuje sprawa świetlic zaczynają zastanawiać się jak ulepszyć tam pracę, jak je ożywić, jak urzeczywistnić swoje marzenia. Ja jestem tego typu człowiekiem, który tylko wówczas marzy, jeżeli wie, że marzenia mogą stać się rzeczywistością, że są ku temu realne możliwości. Wymarzyłem sobie pracę w świetlicy na wsi, widzę jej cel i jestem pewien, że marzenia moje są realne.

Wyobrażam sobie, którąkolwiek ze świetlic np. w Głowience. Przyjemny, czysty, schludny lokal nawet jednopokojowy o gładko malowanych ścianach nie w pstrokaciznę kolorów kwiatowych, jak się często spotyka, skromna gustowna dekoracja. W świetlicy pracuje kierownik społecznik, wraz z samorządem świetlicowym wybranym przez mieszkańców wsi. Kierownika wynagradza w formie premii, a nie ryczałtu miesięcznego jak dotychczas w świetlicach wzorcowych, gromadzka rada narodowa i ona decyduje czy kierownikowi należy dać premię czy nie, czy pracował dobrze, czy nie. Świetlicę, w razie potrzeby, remontuje cała wieś, tak samo sprzęt świetlicowy zakupuje cała wieś ze składek. Mieszkańcy wsi mogą w każdej chwili zdjąć kierownika lub zadecydować, że świetlica jest im niepotrzebna. Nie stawiałbym przeszkód by ją zamknąć. Słowem, chodzi o to, aby wieś stała się właścicielem świetlicy i miała pełne prawo o niej decydować.

To są według mnie podstawowe rzeczy do ułożenia dobrej pracy w świetlicy. Później wyobrażam sobie świetlicę wypełnioną po brzegi ludźmi dyskutującymi nad problemami rolnymi, bowiem one interesują wieś. Można organizować dyskusje nad przeczytaną książką i tak ważnymi problemami jak przemysł czy rolnictwo. Wszystko zależy od zainteresowań ludzi, którzy do świetlicy przychodzą. Kierownik powinien te zainteresowania poznać, najlepiej w prywatnych przyjacielskich rozmowach. Można organizować jeszcze zespoły chóralne, taneczne, można grać w ping-ponga czy szachy. Dużo rzeczy wyobrażam sobie jeszcze w świetlicy. Boję się, aby w swoich marzeniach nie popaść w nierealność. Nad formami pracy pomyślą jeszcze kierownicy i rady społeczne. Co dużo głów to nie jedna.

Muszę powiedzieć jeszcze o jednej bardzo ważnej rzeczy. Proponuję, by kierownicy świetlic byli pracownikami społecznymi, a zapomniałem, że jest to w tej chwili nierealne. Istnieje bowiem uchwała Rady Państwa z 1956 r. mówiąca o ryczałtowym wynagradzaniu kierowników świetlic wzorcowych. Dochodzę do wniosku, że nie moje marzenia, ale uchwała jest nierealna i Prezydium Rządu powinno ją znieść.

Może mi ktoś zarzucić, że swoich rozważań nie potwierdzałem konkretnymi przykładami, uważam, że byłoby to zbyteczne. Musiałbym wyliczyć prawie wszystkie wsie, w których znajdują się świetlice.

Zgadzam się z wywodami mego znajomego.

S. D.

NA OBCZYŹNIE

WOJCIECH BREOWICZ

Zdało mi się, że sosny
Szumią w Polsce o świcie —
A to słyszę na szczycie
Gwar piniorów żałosny...
We mgle toną opalnej
Lasy gwaru są pełne
A po szczytach gór czarnych
Wiatr przegania chmur wełnę...
Nie wiem, zgadnąć nie zdołam,
Skąd przyleciał wiatr halny?
— Może z ziemi oddalnej
Mym językiem mnie woła?

Może tam — „skądś" — z daleka
Huraganem wydarty
Gdzieś znad Wisły czy Warty
Jak brat do mnie ucieka?
Może goni go zima?
Może tęskni do słońca?
Dość, że skrzydłem olbrzyma
Struny duszy mej trąca...
Do mej duszy się tuli,
Dziwne prawi mi wieści,
O krainie boleści
Gdzie brat zginął od kuli...

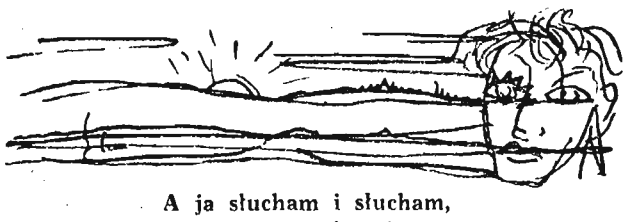

A ja słucham i słucham,
A gniew szarpie mi serce —
Lecz już, widzę w rozterce,
Że świt słońcem wybucha...
Lecz już widzę i słyszę,
Że lud dźwignął swe bary
Zdobył władztwo bezmiary
i Dzień Nowy już pisze...

„Polska Prawda" w Brazylii
nr 15, 1934 r.

Artykuł o Wojciechu Breowiczu zamieszczamy na str. 2

W 200 lecie URODZIN NIEMCEWICZA

Wiecznie młody

Nadobna podkomorzanka sięgnęła białą rączką po ozdobny tomik, leżący na stoliku pomiędzy różnymi graciskami. Oprawną w czerwony safian książeczkę rozwarła na chybił trafił, rzuciła okiem na misterne rysuneczki i wpatrzyła się w czerniejące wśród liter nuty: czarne znaczki skakały po nich niczym wróble na rozciągniętym sznurku. Podkomorzanka spojrzała raz jeszcze, po czym uniosła głowę, świergolac znajdujące się na ustach całej Warszawy, ba całego Królestwa Kongresowego, słowa:

Za szumnym Dnieprem, na cesarskim błoniu
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu...

Ech! Ten Niemcewicz, ten Niemcewicz! Cała Polska go czyta! W salonach i w buduarach pięknych pań leżą rozwarte „Śpiewy". Panienki uczą się z nich historii i miłości swojego kraju. Nikt nie śmie nie znać książki. „Z salonów przechodzą do przedpokojów, z Warszawy i Krakowa do miast prowincjonalnych i na wieś. Ze wszystkich dzieł Niemcewicza, żadne nie ma tyle wziętości i pokupu; tyle skutku bezpośredniego nie sprawiło żadne i tyle chwały mu nie zjednało jak jego „Śpiewy historyczne!" — mówi książę Czartoryski.

Nie masz racji, książę panie Adamie! Nie pamiętasz już jak to szumiała cała Warszawa w latach młodości pana Juliana, kiedy to na scenie Teatru Warszawskiego „Powrót posła" był wystawiony? Nie pomnisz, jak to w loży zjawił się marszałek Małachowski, a wszyscy spektatorowie uznali, w osobie jego przykład tej cnoty obywatelskiej, której przepisów pod postacią rozrywki ukazanych, słuchać przyszli? A pamiętasz, książę Adamie (wszak sam pisałeś o tym), jak to dwakroć aktor powtórzyć musiał owe słowa mówiące o czynnościach sejmowych: „Walczą wszystkie przeszkody gorliwą robotą, idąc przykładem Króla i własną swa cnotą"! Dał się wówczas słyszeć oklask powszechny, wieńczący to dzieło obywatelstwa i dowcipu, a Najjaśniejszy Pan Stanisław August ukłonem z loży oświadczył podziękowanie swoje.

Ale był i szum inny. Sławetny poseł kaliski, imć Suchorzewski, rozpoznał swój konterfekt w postaci Gadulskiego, co to bez składu i sensu baje, i tak się tym uczuł dotknięty, że wniósł do laski marszałkowskiej taką oto skargę:

„Skarżę JW Niemcewicza, posła inflanckiego, autora komedii pod tytułem „Powrót posła" nie z tego, że przywary posłów, to w wielomówstwie, to w uporze, to w protestacjach czynionych, to w sposobie głupiego rezonowania wydrwił, bo i to, acz nie godziło się, niech służy ku poprawie — ale skarżę i skarżyć będę, że prawo narodu wolnej elekcji znieważył i wydrwił, a komedianci powtórzyli".

Inaczej postąpił książę Józef Poniatowski: Skoro usłyszał padające ze sceny słowa: „Gdy szambelan do butów srebrne przypiął kolce i przed pałac zajechać kazał karioleę" — wówczas to, pierwszy elegant Warszawy, powożąc się sam pysznymi końmi, zajechał nazajutrz przed dom posła inflanckiego, złożył głęboki ukłon — i dźwięcząc ostrogami — przymusił autora wsiąść z sobą do karioleki, po czym obwiózł go po całej Warszawie, pod oknami wszystkich pięknych pań: tak zemścił się ku ich ogromnej satysfakcji! Że tak było, zaręcza Kajetan Koźmian.

Nie tak już piękny jak wówczas, ale „ciągle młody" Niemcewicz z żalem wspomina owe czasy. Nie ma już Rzeczypospolitej, nie żyje książę Pepi, zostały jedynie piękne czytelniczki. Podkomorzanka czyta:

Spomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków...

Niedługa radość! Każdy pyta chciwie:
Kędyż jest wódz nasz, dzielny, okazały,
Co nam tak długo przywodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Chlipie, ociera łzy batystową chusteczką. Przed oczyma — mary śmiertelne, a za nimi waleczny koń bohatera postępuje ze schyloną głową. Nie ma pięknego księcia Pepi, o którym tyle mówiła jej podkomorzyna, pani matka. „Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni w nurty spienione!" — bije nadmiarem patriotycznych uczuć panieńskie serduszko.

„Wiecznie młody" poeta jest niestrudzony, skończyło się po

(Ciąg dalszy na str. 2)

W numerze:

Wyniki konkursu na sztukę sceniczną, pieśń ludową i pamiętnik działacza kult.-ośw. ● *ADAM SOCHA — Poeta, dziennikarz, działacz...* ● *KAZIMIERZ BOSEK — W sprawie biblioteki naukowej* ● *K. S. La Strada (recenzja)* ● *Dyskusja — Polemiki* ● *Nie trudno zgadnąć,* ● *Humor* ● *Świat w obiektywie*

POETA, DZIENNIKARZ, DZIAŁACZ...

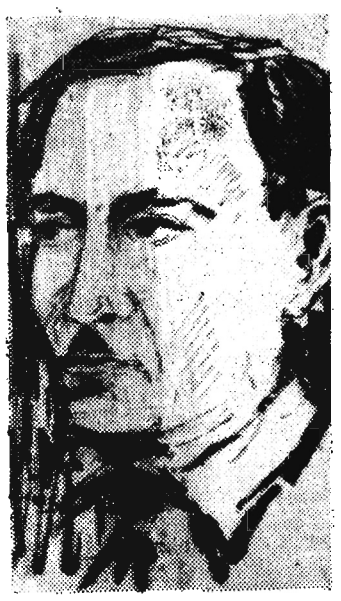

Mniej więcej przed dwoma laty na półkach księgarskich pojawiły się pierwsze tomiki „Biblioteki Dawnych Pisarzy Chłopskich", których wydawanie zainicjowała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Małe, zarówno objętością jak i formatem książeczki zginęły wśród grubych bogato opraw nych tomisk „Czytelnika" czy „Iskier". Sięgali po nie najczęściej zamiłowani w książkach bibliofile, względnie żarliwi zwolennicy ludowej, w pełnym tego słowa znaczeniu, literatury.

Nie warto pytać dziś o nie w punktach bibliotecznych. Zwykle tam ich nie znajdzie, wielu bowiem kierowników bibliotek uważało i uważa nadal, że nie godzi się np. dawać miejsca na półkach Kurasiowi obok Kerna, czy Rakowi obok Różewicza.

Ale dość tych rozważań na ponuro. Nie spodziewam się bowiem, by skłoniły one do zmiany stosunku do zbiorków utworów pisarzy ludowych: Raka, Kurasia, Skuzy, Szarka, Jantka z Bugaja czy Dziedzica. Chciałbym tu zwrócić uwagę na dwie ostatnie książeczki z tej serii zawierające wiersze i pamiętniki Wojciecha Breowicza*), które być może z racji swego związania z ziemią rzeszowską, będą u nas bardziej popularne.

Niewiele dziś wiemy o Breowiczu. Wprawdzie Z. Broniarek w swoich reportażach z Brazylii drukowanych w „Trybunie Ludu" przypomniał to nazwisko, ale nie wątpię, że uszło ono uwagi niejednego.

Tymczasem Breowicz, to postać nieprzeciętna i znana w okresie międzywojennym szerokim rzeszom czytelników pism, zwłaszcza wiejskich. Urodzony 16. I. 1902 roku w Osobnicy (pow. Jasło) dość wcześnie zaczyna działalność społeczną i publicystyczną. Debiutuje na łamach „Młodej Polski" wydawanej w Krakowie w maju 1920 r. W latach międzywojennych pracuje m. in. w Zarządzie Miejskim Krosna. W tym czasie należy do grupy współorganizatorów zespołu pisarzy ludowych wydających w Naprawie pismo „Wieś - Jej Pieśń". Swoje utwory prócz tego drukuje na łamach rozmaitego rodzaju pism ludowych.

W 1932 r. szukając pracy emigruje do Brazylii. U[illegible] dzieci w brazylijskim [illegible]riorze, współpracuje z [illegible]wanymi tam gazetami polski mi, organizuje towarzystwa wychodźcze.

W latach ostatniej wojny Breowicz, mający przeszło 40 lat na karku, staje w szeregach armii polskiej tworzonej przez gen. Sikorskiego w Wielkiej Brytanii. Niełatwo idzie mu ta służba. Raz po raz przychodzi między nim a oficerską górą do gorących utarczek.

Po powstaniu PKWN Breowicz wraz z grupą Polaków, emigrantów z Południowej Ameryki — ochotników służących w armii polskiej na Zachodzie, deklaruje się po stronie przemian dziejących się w kraju. Ściąga to na jego głowę nowe gromy. Niezrażony tym po demobilizacji nawiązuje kontakt z prasą literacką w Polsce i tu drukuje swoje wspomnienia i wiersze. Obok tego współredaguje polskie pismo „Siewca" wydawane w Kurytybie.

Tak przedstawiałby się w olbrzymim skrócie życiorys Breowicza — poety, dziennikarza i działacza społecznego. Jego utwory rozsiane w dziesiątkach pism periodycznych przed i powojennych są zawsze pełne społecznej i patriotycznej pasji, śmiałych i szlachetnych myśli. Niezależnie od tego jak będziemy oceniali ich artystyczną wartość, musimy pamiętać o tym, że przemawiały one niegdyś i do dziś przemawiają do tysięcy prostych ludzi od pługa, że towarzyszyły one polskim osadnikom przemieniającym dzikie, podzwrotnikowe puszcze w kwitnące zbożem krainy.

Breowicz kształtuje początkowo swoją twórczość poetycką na wzorach Syrokomli, Konopnickiej, Kasprowicza jak również bezimiennej pieśni ludowej. Poświęcając w 1932 r. wiersz chłopom poległym od kul policji granatowej w czasie wieców i strajków rolnych pisze:

„Wam, coście legli na rodzinnych progach
W obronie prawa i wolności ludu —
Nieśmiertelności niech świeci pożoga
W wiekach, co przyjdą śród rozświtów cudu...
...Wieku dwudziesty! o hańbo dziejowa!
Zgrozo, od której młody włos bieleje!
Ojczyzno święta, ty ziemio piastowa:
Cóż o tych trupach mówić będą dzieje?
...Lecz idzie chwila, bracia — męczennicy,
Że lud zdobędzie prawną palmę władztwa
I Sprawiedliwość rozpali w Świątnicy —
Po latach knuta — bezprawia — łajdactwa!"

Z biegiem czasu Breowicz dopracowuje się własnego, oryginalnego stylu występując jako piewca polskiego dorobku cywilizacyjnego pod Krzyżem Południa, wyraziciel licznej rzeszy brazylijskich Polaków i gorący rzecznik zbratania się tej rzeszy zarówno z ludem brazylijskim, jak i z wychodźcami innych narodowości, zamieszkujących Brazylię. Najciekawsze są według mnie wiersze napisane przez niego w czasie służby wojskowej w Wielkiej Brytanii. W wierszu zatytułowanym „Pod bombami" czytamy:

„Znowu alarm...
Nie zaśniesz...
Po raz setny lecą...
Pada jedna za drugą — wkół pożary świecą...
Czerwony Krzyż, tuż za nim dzwoni straż pożarna.
Ciągną trupy spod zwalisk.
Noc lęku — krwią parna..."

Gorąca tęsknota za krajem przemówiła w wielu wierszach Breowicza. Ze szczególną siłą odezwała się w wierszu napisanym w 1947 roku pt.: „Spod Antypodów":

„Patrz, jak zza morza — gdzie grom nam urąga
Za resztki dzieciom przekazanej mowy —
Lud Twój do Ciebie twardą dłoń wyciąga,
Zwrócony twarzą ku Polsce Ludowej!
...Nie chcemy umrzeć jak zielsko na skałach
Spalone żarem słońca i stu pogromów...
Nie chcemy krwi tej, co nam Macierz dała,
Zatracić w świecie! My chcemy do domu!
*Niech uschnie ręka**) — i sczeźnie na wieki,*
Która z ojczystych wygnała nas progów,
Każąc nam konać w kniejach puszcz dalekich
Pod butem obcych, barbarzyńskich bogów!
Bo nie jak „równi" jesteśmy, lecz Slavos,
Biali escravos — gnój pod „ich" dostatek!
Czy słyszysz, z gruzów wstająca Warszawo?
My chcemy wracać! Przyślij po nas statek".

Breowicz, jak już pisałem, to nie tylko poeta. To przede wszystkim dziennikarz, redaktor pism ludowych, wybitny organizator w ruchu pisarzy ludowych w kraju i na emigracji, działacz oświatowy, nauczyciel — wychowawca i żołnierz — ochotnik. Swoje przeżycia, niejednokrotnie gorzkie i ciężkie, zawarł w pamiętniku pt.: „Trzy etapy", który również znalazł się w jednym z wydanych tomików zawierających utwory Breowicza. Czy telników z woj. rzeszowskiego niewątpliwie zainteresuje ta jego część, w której pisze o rodzinnej wsi — Osobnicy, o pracy w Jaśle i Krośnie, o swoich znajomych i towarzyszach walki w okresie międzywojennym.

Obok tego ten sam pamiętnik zawiera ciekawe opisy przeżyć Breowicza w brazyliskiej puszczy, jego nadzieje i gorzkie rozczarowania będące nadziejami i rozczarowaniami tysięcy polskich wychodźców. Czyta się miejscami te opisy jak najciekawszą powieść podróżniczą.

Trudno jest zamknąć nawet w kilkuset słowach całą ocenę treści i formy pisarstwa Wojciecha Breowicza. Wolę ją zostawić samodzielnym osądom czytelników dwu tomów poświęconych przez LSW jego twórczości. Przeczytać je warto. W tomikach tych czytelnicy znajdą sporo interesującego materiału o wsi rzeszowskiej w okresie międzywojennym i o wychodźstwie polskim w Ameryce Południowej.

A. SOCHA

*) Wojciech Breowicz — wybór utworów — Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — Cena I/II tomu zł 16.

**) Rządy zaborcze, następnie sanacyjne (przypisek Breowicza).

Z TEKI PLASTYKI RZESZOWSKIEJ

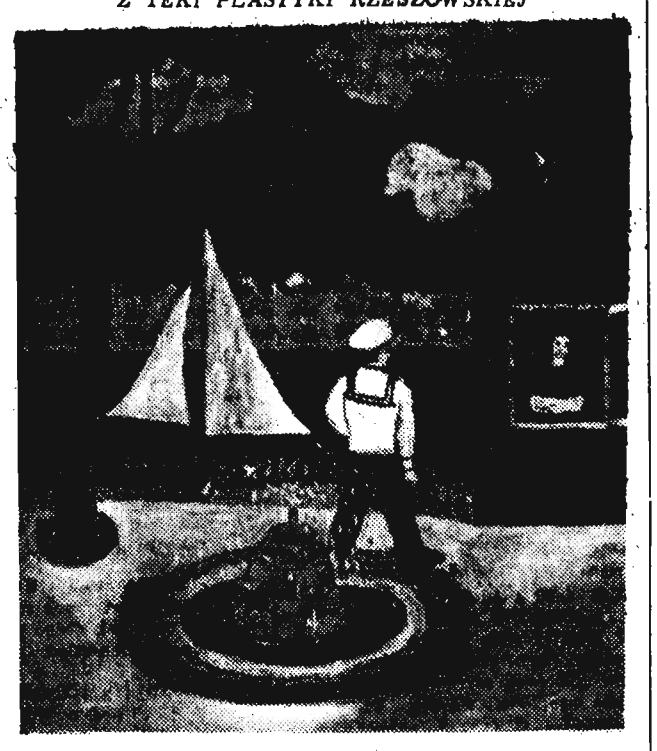

CEZARY KOTOWICZ — „Sen marynarza" tempera

WIECZNIE MŁODY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

słowanie, nie można już z trybuny sejmowej bronić porządku w Rzeczypospolitej i nawoływać do reform, do postępu. Minęły też piękne dni, gdy jako adiutant Kościuszki uwijał się konno po kwiecistym błoniu.

Zaciera się, niby niedobra zmora senna, kilkuletnia noc w pietropawłowskiej twierdzy. Oddaliła się nawet ta Ameryka, do której podążył za Kościuszką; Ameryka wraz z uroczym domkiem, pod którego progiem bawił się w drwala, aby przyrzucić polan na kominek. Odpłynął gdzieś w dal ten kominek i siedząca przy nim jego angielska żona. Znów jest w Polsce, w ojczyźnie i pragnie, jak dawniej, obrywać listki sławy z rozrastającego się coraz bardziej drzewa swojej twórczości.

Co tam te bajki, którymi karmił czytelników epoki stanisławowskiej! Dziś inny słuchacz potrzebuje innych poetów! Niemcewicz rozczytuje się w romantykach angielskich i niemieckich, zachwyca się „Lenorą" Buergera; wkrótce cała Polska zaczyna roztkliwiać się nad romantyczną balladą: „Piękna Helena i Alondzo śmiały, ta znana z wdzięków, ów z swojej urody..."

Walter Scott pisze powieści mrożące krew w żyłach. Cała Europa go czyta. Czyż gorszym ma być polski czytelnik? Ukazuje się koturnowy „Jan z Tęczyna", a dla bardziej czułych czytelników „Lejbe i Siora", czyli listy dwojga kochanków, dzieło malujące egzotyzm żydowskiego świata. Mamy polskiego Walter Scotta! — woła krytyka literacka.

Ale pan Julian rwie się ciągle do czynów. Tu spiski i sprzysiężenia — naród się zrywa do boju. Pędzą gońce tam i sam, z Warszawy do Ursynowa i z Ursynowa do okolicznych wsi i miasteczek. Co pewien czas wytacza się powóz zaprzężony w białe cuganty, a pan Niemcewicz, okrywszy się płaszczem udrapowanym peleryną, wyrusza na tajemnicze wojaże. Ich celu nie domyśla się nikt poza garstką wybranych. Feldmarszałek Paskiewicz podejrzliwie czyta memoriał: „Niewyrozumowana i dlatego dla każdego umysłu dostępna praca, żywy i harmonijny język potoczny, zachwycająca słuch muzyka, kunsztownie dobrane według treści ryciny, szybko i łatwo utrwalają w pamięci Polaków i Polek opisane przez Niemcewicza wspomnienia z ich historii ojczystej".

29 listopada: rozbrzmiewa nowy śpiew historyczny. Browar na Solcu płonie. Podchorążowie atakują Belweder. Naród zdejmuje koronę z głowy uzurpatora. Niemcewicz jest znów wśród tych, co tworzą Polskę. Przeżywa wraz z nimi złudzenia, a potem klęskę. I znów, jak poprzednio, wyrusza na tułaczkę. Na emigrację, z której 84-letni starzec nie powróci już nigdy do drogiej sercu Warszawy, do ukochanej Polski.

ADRIAN CZERMIŃSKI

W sprawie biblioteki naukowej

Nie zamierzam tu mówić o awansie, do którego przedstawiono po wojnie miasto Polski B. Chodzi mi jednak o fakt rzeczywistego rozwoju kulturalnego w mieście, którego najważniejszą cechą był przed dwudziestu laty handel pierzem i jajami. Przyzna mi chyba większość, że coś zmieniło się w Rzeszowie, pomimo jego dotychczasowego zaniedbania i prowincjonalnej gnuśności. Mnóstwo w mieście szkół, dziesiątki nauczycieli. Własny teatr, własne, chociaż nieliczne imprezy, spory krąg inteligencji, której przecież oddziaływanie na społeczeństwo, zwłaszcza w ostatnim czasie, nie jest niepokalane. Przyzna mi też wielu, że aspiracje kulturalne i naukowe wojewódzkiego miasta wzrosły obecnie nieproporcjonalnie do jego rzeczywistych warunków, ale odpowiednio do jego palących potrzeb.

Jest u nas sporo inteligencji pracującej, koniecznością nie cierpiącą zwłoki wydaje się stworzenie warunków do przekształcania się jej w inteligencję twórczą. Miasto z awansu, miasto typu Rzeszowa, powinno mieć własną, skromną nawet kadrę intelektualistów. Intelektualistów — że powiem lapidarnie — regionu. Konieczne to tym bardziej, że jest już nawet grupka ludzi faktycznie pracujących naukowo. Nie ma jednak dla nich mocnego oparcia.

Myślę o sprawie tak podstawowej, jak biblioteka naukowa, bez której nie można mówić o jakiejkolwiek twórczej pracy. Owa grupka ludzi, która z pewnością będzie się stale powiększać, korzysta z najrozmaitszych źródeł, borykając się w swej pracy z barierą dużych trudności. Każdorazowo więc sprowadza się materiały naukowe z bibliotek uniwersyteckich. Sądzę, że i w przyszłości ta forma korzystania z pomocy innych bibliotek okaże się potrzebna, ale nie przypuszczam, by obecnie była ona jedynym i wystarczającym sposobem udostępniania podstawowych księgozbiorów ludziom, którzy zajmują się pracą naukowo-badawczą.

Niech mnie ktoś nie posądza o gazeciarskie dociekania, to jest głos dyktowany przez rzeczywistą konieczność: Rzeszów powinien mieć w ł a s n ą bibliotekę naukową. Powinien, bo możliwości są.

Muzeum rzeszowskie jest w posiadaniu bogatego księgozbioru, liczącego skromnych 13 tysięcy tomów. Powstał ten księgozbiór z własnych uzupełnień, dawnych bibliotek dworskich i darów Franciszka Moskwy, rzeszowskiego kupca, które przekazał on rodzinnemu muzeum. Dalej. Wśród 43 tysięcy tomów zgromadzonych w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, znaczną część stanowią pozycje, które z powodzeniem posłużyłyby do badań, zwłaszcza literackich. Gdyby ponadto wykorzystać bogatą bibliotekę, tworzoną od XVII wieku w dawnej pijarskiej szkole (I gimnazjum) oraz resztki bibliotek podworskich, znajdujących się w najrozmaitszych rękach, to miałoby się obraz wcale nienajgorszych warunków do utworzenia takiej placówki, jak biblioteka naukowa. Marginesowo wspominam jeszcze o możliwości korzystania ze zbiorów bibliotek uniwersyteckich oraz Biblioteki Pedagogicznej na miejscu.

Oto są możliwości. Dlaczego więc dotąd nic nie zrobiono?

Sprawa rozbija się o cichy spór, kto poprowadzi i w czyich rękach mogłaby najlepiej działać biblioteka naukowa. Obecny właściciel 13-tysięcznego księgozbioru — muzeum, dąży do tego, by placówkę tę pozostawić na jej dawnym miejscu. Kustosz, doc. Kotula wskazuje na inspirowaną przez władze centralne koncepcję tworzenia w ośrodkach pozbawionych wyższych szkół, regionalnych instytutów naukowych. Instytut taki utworzony przy muzeum mógłby poprowadzić tę placówkę.

Myśl godna zastanowienia. Nie wierzę jednak w możliwości rychłego utworzenia takiego instytutu. To kwestia wcale nie bliskiej przyszłości, a rozwiązanie problemu biblioteki naukowej powinno nastąpić jak najszybciej. Dlatego bardziej przekonywająco zda się przemawiać druga możliwość natury organizacyjnej. Otóż — Biblioteka Publiczna dysponowałaby lokalem (kwestia przeniesienia administracji Orkiestry Symfonicznej do innego locum), zapewnia nawet możliwości etatowe, posiada ludzi o odpowiednich kwalifikacjach i — co najważniejsze — udostępnia korzystanie z własnego księgozbioru.

Wiele jest więc sprzyjających okoliczności. Przeniesienie zatem biblioteki z muzeum nie jest problemem, nic nie przemawia przeciwko takiej możliwości, tym bardziej, że księgozbiór stanowi przede wszystkim wartość naukową, a nie muzealną. Jeśli w dodatku właściciele innych zbiorów (biblioteka I gimnazjum, biblioteki podworskie) podeszliby do sprawy tak, jak na to wskazuje interes społeczny — sprawę można by uznać za załatwioną.

Uznać można by... Ta jednak u m o w a w sytuacji wielogłosów, które sprawiły, że dotąd nic nie zrobiono, łatwo przyjść nie może. Daleko mi do „zawodowego" pesymizmu, ale sądzę, że — jeśli nadal wchodzić będą w grę osobiste ambicje i zamierzenia, przesłaniające inne możliwości — nieprędko dojdzie do załatwienia sprawy, czekającej kolejki w mieście, które nie ma być zaniedbanym. Potrzebna tu społeczna, skoordynowana, a nie jednostkowa, więc często i subiektywna w istocie inicjatywa. Rolę koordynatora może spełnić wojewódzki Wydział Kultury, mający przecież w takich sprawach szerokie kompetencje. Kompetencje te trzeba — dla dobra ogółu — jak najpożyteczniej wykorzystać.

* * *

Tych parę słów traktuję jako przypomnienie o palącej potrzebie i rezerwach nie zapomnianych, ale pozostawionych na uboczu. Interes dotąd zaniedbanego miasta — oczekuje załatwienia.

KAZIMIERZ BOSEK

Rozległe są gościńce, po których kołyszą się budy jarmarcznych teatrzyków. Trzepocą się tam serca małych clownów i rozgrywają się losy człowiecze.

Film Felliniego to nie historia cyrku i wędrujących „artystów": to poezja samotności, poezja miłości i rozpaczy dwojga ludzi. Możecie ich znaleźć wszędzie — nie tylko w wozie cyrkowym, ale w szeregu miast i miasteczek. Będą tak samo myśleć i tak samo będą przygnębieni losem.

La Strada nie jest filmem zwyczajnym. Sam Fellini mówił o nim: „Mój cel — to nie stwarzanie piękna, lecz ukazanie „czegoś", w czym byłaby prawda i odrobina szczerości". Stąd cały film jest przepojony ogromną wrażliwością reżysera na uczucia, leżące najgłębiej w człowieku; na sprawy, które tak trudno dotknąć i jednocześnie ukazać szczerze i prawdziwie.

W La Stradzie łączy się ściśle marzenie z jakimiś elementami niezwykłości, wspomnienia o przeszłości mieszają się z teraźniejszością, a wszystko wtapia się w realizm Felliniego — realizm ludzki.

Całą historię La Strady można by zamknąć w wyznaniu jarmacznego atlety Zampano do towarzyszki podróży po gościńcu małej Gelsominy. To wyznanie uczynił Zampano już po jej śmierci. Nic nie wskrzesi jego dziewczyny, wychowanej na płaszczystych wydmach. Odeszła, zabierając z sobą największy skarb, jaki stanowiła dla Zampano jej obecność. Została po niej rzewna piosenka, którą usłyszy w wiele lat później. A słuchając, zacznie rękę na kolczastym drucie oparkanienia. To przecież przy nim nauczyła się jej. I on zostawił jej śmieszną trąbkę, uciekając z ponurym wozem domem, na którym wielkimi literami wymalował swe nazwisko. Trzeba było aż śmierci, by uświadomił sobie, że to była jedyna bratnia dusza, która pozostawała przy nim nie dla pieniędzy i sytego jedzenia, ale dla umilenia jego straszliwej samotności.

Samotność. W kręgu tego potwornego uczucia, które z Zampano zrobiło nie chcącego myśleć gwałtownika, a z Gelsominy myślącego psa, obraca się cały film.

Nawet mały kamyk, który jako talizman zabierze z sobą na gościniec Gelsomina, też w jakiś sposób sugeruje nieszczęście ludzi samotnych i człowieka niepotrzebnego. Mały kamyk bowiem do czegoś też musi być potrzebny. Nie wiadomo tylko do czego, ale to nie najważniejsze, bo przecież nikt nie jest wszechwiedzącym. Tylko dla tego nie zabierze z sobą Gelsominy „Szalony", bo widzi konieczność pozostawienia jej z Zampano, dla którego Gelsomina znaczy tyle — co promień słońca. Że Zampano tego nie mówi? Nie potrzeba jego gburowatych słów — on czuje.

Dlatego, być może, wzruszy go sadzenie pomidorów na przydrożnej łące i wynagrodzi Gelsominę pięknym owocem za niemożność pozostania na miejscu i doczekania się pomidorowych kwiatów.

Dlatego upije się do nieprzytomności po występie, na którym nie było bębna i pałeczek w rękach Gelsominy, a ona sama odeszła. Straszna będzie rozpacz milczącego człowieka, którego samotność doprowadziła do rodzaju anemii umysłowej, kiedy znajdzie się sam na sam z żywiołem fal morskich. Tylko morze i niebo będą świadkami jego łez; a nadmorski piasek odciśnie ślady bolesnie drgających palców, które wypuściły w świat małą przyjaciółkę.

Fellini celowo nie czyni z postaci Zampano ordynarnego brutala. Gwałtowność, unikanie ludzi i zamknięcie się w sobie — to wszystko wywołały warunki życia i pracy, odizolowanie się od świata.

Fellini tego nie mówi wprost. Stwarza tylko atmosferę beznadziejności i smutku i osnuwa ją wokół dwojga wędrujących ludzi.

W atmosferze tej, której nie można chyba wiernie oddać, obraca się małe stworzonko, o infantylnej inteligencji i niezwykłej wrażliwości — Gelsomina. Giulietta Massima przyrównuje się do Chaplina, a we Francji nazwano ją nawet „Charlot la femme".

Twarz karczocha, lniane, proste włosy i oczy — wielkie, rozszerzone zdumieniem dla wszystkiego, co żyje na świecie. Potrafią być tragiczne, rzewne i figlarne. Jednakowe przeżycie stanowi dla niej małe stworzonko, wygrzebane z ziemi, jak i radość maluchów, których śmieszy do łez przekrzywiony melonik, narysowane brwi i tyczkowate nóżki w za dużych pantoflach. Giulietta Massima — to udsobnienie nieszczęśliwego stworzenia, które myśli i czuje inaczej niż wszyscy ludzie.

Wiele refleksji nasuwa się po obejrzeniu La Strady. Ja wysnuwam tylko jedno: Fellini pokazał „coś bardzo trudnego" w czym jest prawda i wielka szczerość. Nie było jego celem stwarzać piękna, mimo to prócz prawdy i szczerości przemawia do mnie właśnie najczystsza poezja piękna. *K. Ś.*

WYNIKI KONKURSU
na sztukę sceniczną, pieśń ludową i pamiętnik działacza kulturalno-oświatowego

Podobnie jak w roku 1955 Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie pragnąc ożywić twórczość artystyczną na terenie naszego województwa ogłosił w roku ubiegłym konkurs na sztukę dla zespołów amatorskich o tematyce współczesnej i na pamiętnik działacza kulturalno-oświatowego z okresu dziesięciolecia Polski Ludowej. Ponadto konkurs objął pieśni ludowe, przyśpiewki, pieśni buntownicze i rewolucyjne z terenu województwa rzeszowskiego.

Zdaniem komisji, w której teatr reprezentowali dyr. Hugon Morycński i Henryka Rodkiewicz, a ocenę literacką: Stanisława Dubyk i Jan Grygiel — większość spośród jedenastu nadesłanych sztuk stała na stosunkowo słabym poziomie. Dlatego też postanowiono nie przyznawać pierwszej i drugiej nagrody. Z dwóch trzecich nagród po tysiąc złotych przyznano **Ignacemu Wolańskiemu**, autorowi sztuki „Źródło pod grusza" za utwór z czasów okupacji oraz **Franciszkowi Rogowi** z Olchowa — za sztukę z życia wsi współczesnej pt. „W szponach zabobonu". Wyróżnienia po 500 zł otrzymali: **Wiktor Łącki** z Krosna (sztuka „Jej talizman") i **Władysław Długosz** z Rzeszowa (sztuka „Szkoła i dom").

W konkursie na pamiętnik działacza kulturalno-oświatowego przyznano wyróżnienie **Władysławowi Kisaly** i z **Kraczkowej godło** „Wieśniak" w wysokości 1.500 zł. Wspomnienia Kisaly sięgają jeszcze czasów przed 1914 r. i ukazują na przestrzeni czterdziestu lat obraz działalności teatru amatorskiego, zespołu pieśni i tańca w rodzinnej wsi autora. Na uwagę zwłaszcza zasługuje fakt, że pamiętnikarz silnie podkreśla konieczność zespołowej pracy we wszystkich formach życia artystycznego na wsi. Szkoda tylko, że ten ciekawy pamiętnik był jedyną pracą nadesłaną na zeszłoroczny konkurs.

W zakresie muzyki i pieśni ludowych komisja złożona z dyrektora Państwowej Szkoły Muzycznej Tomasza Czapli, dyr. Jana Wołowca, Stefana Bokłaka oraz Franciszka Rzepieli, kierownika oddziału upowszechniania przy Prezydium WRN oceniła siedem prac. Dwie trzecie nagrody po tysiąc złotych przyznano **Marianowi Niedziosze** ze Słociny, za zbiór melodii z okolic Rzeszowa oraz **Janowi Wołowcowi** — za trzy melodie ludowe regionu rzeszowskiego w układzie na czterogłosowy chór mieszany. Postanowiono także wyróżnić zbiór melodii ludowych **Franciszka Roga z Olchowej** oraz trzynaście melodii opracowanych przez **Wincentego Salaburę** z Markowej.

Chociaż wyniki nie spełniły całkowicie pokładanych w konkursie nadziei, należy się spodziewać, że zarówno opracowania pieśni regionalnych jak i sztuki (te ostatnie po pewnych przeróbkach) będą mogły wzbogacić repertuar zespołów amatorskich województwa rzeszowskiego.

(Z)

POLEMIKI — DYSKUSJE — POLEMIKI — DYSKUSJE — POLEMIKI — DYSKUSJE —

Jeszcze w sprawie wywiadu z doc. Kotulą

„Dokąd idziesz kulturo Rzeszowszczyzny" zdawała się pytać ob. S. D. w swym wywiadzie z docentem Kotulą („Nowiny Tygodnia" z dnia 12. I. 1957 r.). Niestety trzeba stwierdzić, że w zasadzie wywiad nie spełnił swego zadania i oczekiwanej odpowiedzi ani przedstawicielka „Nowin", ani czytelnicy nie otrzymali. Niewątpliwie wszystkie wypowiedzi doc. Kotuli dotyczyły zagadnień kultury, niemniej od kierującego sprawami kultury województwa należało oczekiwać innych wypowiedzi.

Zgadzam się z poglądem doc. Kotuli, iż wychowanie jest rzeczą najważniejszą, lecz trudno zgodzić się z tym, by rolę wychowawcy społeczeństwa przyjęła na siebie w pierwszym rzędzie milicja. Wychowanie społeczeństwa zacznijmy od domu rodzicielskiego, a przede wszystkim od szkoły.

Większość wypowiedzi docenta Kotuli krąży wokół zagadnień wychowania i zagadnień kultury stosunków społecznych, a te wydaje mi się, nie leżą bezpośrednio w kręgu spraw podlegających jego kompetencjom. Zostawmy przeto „co cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu". Niech wychowaniem młodzieży zajmie się wydział oświaty, zaś dyscypliną społeczną milicja. Od odpowiedzialnego członka Prezydium WRN oczekujemy wyjaśnień i wypowiedzi odnośnie tych dziedzin kultury, które zwyczajowo mu podlegają, a więc przede wszystkim sztuka w swych rozlicznych formach i to co nazwałbym kulturą duchową. O tym niestety z wywiadu się nic nie dowiadujemy. Szkoda, bo tu właśnie widzę pole do popisu dla naszych działaczy kulturalnych i spodziewałem się że wywiad ten przedstawi nam program działania organów kultury WRN na najbliższy okres. A jest nad czym pomyśleć. Sztukę trzeba do społeczeństwa przybliżyć. Sztukę współczesną trzeba uczynić jednym ze środków oddziaływania na społeczeństwo. Wypienić należy z naszego życia co brzydkie, prymitywne, co kompromituje nas w oczach obcych.

Ważnym momentem w rozpowszechnianiu sztuki jest wyzwolenie jej z nudy; jeśli ma być ona chłonięta, musi interesować, musi być bardziej interesującą niż istniejąca rzeczywistość. Tę okoliczność trzeba uwzględnić w środowiskach, gdzie dużo jest wyczekujących (poczekalnie), rozporządzających dużą ilością czasu.

Czy nie należałoby przeto uczynić naszych poczekalni dworcowych, autobusowych itp. małymi ośrodkami promieniowania kultury? Usuńmy z nich szpetne malunki domorosłych artystów, kulfonowate i zdeaktualizowane gazetki ścienne, wiszące po kilka lub kilkanaście miesięcy i nigdy przez nikogo nie czytane. Zlikwidujmy pompatyczne hasła (zajmujące całe ściany), z których brakujące wypadłe litery potworzyły niekiedy wręcz groteskowe napisy. Zawieśmy w ich miejsce wartościowe reprodukcje dzieł sztuki w estetycznym otoczeniu, by stały się społeczeństwu bliskie i znane.

Jeśli wyniknie już rzeczywista potrzeba korzystania z pomocy plastyków w miejscach publicznych, niech to będą artyści z prawdziwego zdarzenia; artyści, których setki opuszczają nasze uczelnie średnie i wyższe. Uważam, że nie mniejszą oddadzą oni przysługę społeczeństwu, eksponując swą sztukę malowidłami na ścianach sal gmachów publicznych, niż wystawiając na mało uczęszczanych wystawach swe kompozycje. Niech wespół z architektami obejmą protektorat nad doprowadzeniem do estetycznego wyglądu naszych ulic, placów, elewacji domów, a nawet wystaw i wnętrz punktów handlowych i usługowych. Niech zwalczają i wypierają z każdego miejsca bohomazy, prymityw i szpetotę.

Obok dorywczych sposobów eksponowania dzieł sztuki postawmy na należytym poziomie wystawy i muzealnictwo. Każda wystawa winna być łatwo dostępna, interesująca i zrozumiała. Urządzenie wystawy w miejscu niecentralnym dla swego ośrodka minie się niewątpliwie z celem. Zorganizowana w centrum ośrodka o dużym natężeniu ruchu odpowiednio zareklamowana, zainteresuje i wciągnie widza. Reszty dokona właściwie interesujące rozwiązanie wnętrza. Tu nie wolno się cofnąć przed współpracą z plastykiem i fachowcem z eksponowanej dziedziny. Będzie błędem niewybaczalnym, jeśli muzeum nie będzie rozporządzać historykiem sztuki i to nie tylko na stanowisku kustosza. Niech fachowców będzie jak najwięcej. Niech muzeum nie stanie wobec problemu, że nie ma kto zwiedzającym udzielić objaśnień lub wyjaśnia się w sposób mechaniczny bez uwzględnienia poziomu umysłowego zwiedzających. Objaśniającym nie wolno zapominać, że nie zawsze mają przed sobą znawców sztuki (ci zresztą objaśnień z zasady nie potrzebują), lecz często zwiedzających, którzy mimo zainteresowania w danej chwili eksponatami niewiele, a często nic o nich nie wiedzą.

Jest dziedzina, która wymagać będzie od naszych „włodarzy kultury" serdecznej i nieustannej opieki. Dziedziną tą jest czytelnictwo. Rzeszów jest niestety jednym z nielicznych miast wojewódzkich w kraju, które nie posiada „Klubu Książki i Prasy". Tak więc kulturalny mieszkaniec Rzeszowa często w swym pędzie do czytelnictwa aktualnego (mam na myśli prasę) kontentować się musi wyłącznie dziennikami, bo jak wiemy, nabycie tygodnika ilustrowanego krajowego jest dotąd u nas problemem nierozwiązanym z uwagi na ich nikłe nakłady. (No teraz nie jest już tak źle! — Red.). A czasopisma zagraniczne? Wszak znalazłoby się wielu amatorów, którzy chcieliby z nich korzystać.

Dwoma wielkimi znakami zapytania zdają się być w Rzeszowie od pięciu bez mała lat wyczekujące na odbudowę zabytkowe synagogi. Las rusztowań, opasujący je latami, jest najwymowniejszym dowodem ślamazarności naszych czynników odpowiedzialnych za te sprawy. Czas najwyższy, by ten problem jak najrychlej „odfajkować".

Ogromem niezmierzonym naszego życia kulturalnego jest wieś. Ta wieś silnym głosem domaga się cywilizacji, domaga się kultury.

Długie wieczory zimowe skłaniają ludzi do wspólnego spędzenia czasu, spotkań, dyskusji, które słusznie należałoby ześrodkować w wiejskiej świetlicy zaopatrzonej w radio, dzienniki, gry towarzyskie. Zwykle niewielka grupka młodzieży z inicjatywą przy współpracy miejscowego nauczyciela, jest w stanie poprowadzić taką świetlicę w sposób właściwy. Wydaje mi się, że o ile świetlice przyzakładowe nie zdały egzaminu z uwagi na specyfikę życia kulturalnego w mieście (kina, teatry itp.), o tyle świetlica wiejska, oczywiście przytulna, ciepła i jasna, jest żywotnym i naturalnym sprzymierzeńcem rozwoju kulturalnego wsi.

Życie wsi trzeba uatrakcyjnić częstymi występami zespołów artystycznych, czy to amatorskich czy zawodowych. Trzeba, by kino objazdowe stało się jak najczęstszym gościem naszych gromad. Częste widowiska kulturalne staną się dla wsi czymś bliskim, powszedniejszym i z czasem przestaną być wydarzeniem tak nadnaturalnym i emocjonującym, że mówy być nie może o uspokojeniu podniecenia widowni. Wtedy przystąpić można do wychowania widza.

W liście swym, pisanym nie przez działacza kultury, a raczej przez jej odbiorcę, starałem się poruszyć jak najwięcej ważnych zagadnień kulturalnych Rzeszowszczyzny. Niestety nie doczekały się one omówienia przez doc. Kotulę. A szkoda, bo kto nas zapozna z planami i projektami rozwiązania aktualnych problemów kultury Rzeszowszczyzny, jeśli nie uczynił tego ten, który z racji zajmowanego stanowiska jest za nie w pierwszym rzędzie odpowiedzialny?

K. K.

POLEMIKI — DYSKUSJE — POLEMIKI — DYSKUSJE — POLEMIKI — DYSKUSJE —

Czekamy na rzeczową odpowiedź

OBYWATELU REDAKTORZE!

Czytałem artykuł ob. Świerczewskiej w związku z reorganizacją placówek wynajmu i wyświetlania filmów, czytałem list ob. Łabudzkiego, który miał zapewne stanowić odpowiedź na ten artykuł oraz replikę ob. Gajewskiego na ten list. I muszę stwierdzić, że jeśli zdziwiła, rozczarowała mnie i oburzyła postawa odpowiedzialnego pracownika CWF, to niemniej zdziwiony byłem odpowiedzią zespołu „Nowin Tygodnia" na ten paszkwil, bo tak to trzeba nazwać, który nie powinien nawet zajmować miejsca w gazecie.

Bez względu na to czy list ob. Łabudzkiego jest jego własną reakcją na artykuł pt. „SOS", czy też odpowiedzią oficjalną, zaaprobowaną przez zespół CWF należy zarówno jego formę jak i treść ostro napiętnować. Tymczasem redakcja w odpowiedzi usiłuje przekonać ob. Łabudzkiego o bezdurności jego elaboratu przy pomocy takich autorytetów jak Rousseau, Goethe czy Dąbrowska. Wydaje mi się, że równie dobrze można by, stosując taką metodę komuś kto obrzuca nas tzw. „wiązanką słów" odpowiadać cicho i łagodnie przykazaniem „miłuj bliźniego jak siebie samego".

Ob. Łabudzki pominął w swoim liście milczeniem istotne problemy artykułu — co robić, by (ale nie kosztem strony artystycznej) zmniejszyć deficytowość kin, jak zreorganizować nadmiernie rozdęty aparat CWF i OZK, jak usprawnić pracę obu tych instytucji. Nad tym nie warto było się zastanawiać. Ale za to z jakąż pilnością przewertowało się zeszłoroczny komplet „Filmu", by wyszukać dla „unieśmiertelnienia" autorki cytat, odnoszący się do któreję z recenzji i to do jej formy, a nie treści. Gdybyśmy chcieli pod tym względem badać list ob. Łabudzkiego „Przekrój" i „Szpilki" miałyby na miesiąc materiału do kolumn poświęconym takim lapsusom.

Dyskusja nad decentralizacją kinematografii trwała dość długo, ale o jej wynikach jakoś nie słychać. Wielka szkoda, że CWF i OZK nie poinformowały dotąd opinii publicznej o krokach podjętych dla uregulowania najważniejszych problemów sygnalizowanych przez dyskutantów. Bo realnych zmian w porównaniu z poprzednim okresem jakoś na razie (poza zwiększeniem ilości filmów zachodnich, na co rzeszowska CWF większego wpływu zapewne nie posiada) nie widać.

Ba, wiele rzeczy pozostało bez zmian. I choć ob. Łabudzki zapewnia, że np w sprawie repertuaru bez rad społecznej i tak wszystko będzie grać, znowu filmy w Rzeszowie idą stadami — jak komedie, to jedna po drugiej; jak dramaty czy inne „trudniejsze" dzieła to znów seryjnie. Dowód. W WDK „La Strada", w „Żorzy" „Jak bezbańskie psy", a przedtem „Zimowy zmierzch". Spróbuj tu znaleźć film rozrywkowy. Pamiętam, że kiedyś w podobnej serii szły „Paloma", Rio Escondido", „Ciemna rzeka".

Inny przykład dystrybucji filmów: Niedawno w „Żorzy" oglądałem pouczający krótkometrażowy film o niebezpieczeństwie pożarów. Cóż z tego, skoro film przeznaczony był dla widza wiejskiego, uwzględniał właśnie pożary w warunkach wiejskich. Na cóż więc zdało mi się ostrzeżenie... „nie zostawiaj niedopałków w stodole, lub na zaśmieconym słomą podwórku", skoro u mnie słomy i na lekarstwo nie znajdzie.

Zapewne ob. Łabudzki stwierdzi, że jestem „jednostką szukającą popularności i poklasków wśród mas" (recenzji nie pisuję, więc ironiczny zarzut „wspaniałego krytyka filmowego" odpada), ale mimo to będę twierdził, że podane przykłady to przejawy bałaganu panującego w dystrybucji filmów, podobnie jak wyświetlanie dziesiątki razy jednej i tej samej reklamy damskiej biżuterii choćby kosztem filmów dokumentalnych.

Nie chcę tu rozpisywać się o tej 1/3 niemal części listu ob. Łabudzkiego, w której pozwala sobie „na wycieczki" pod adresem autorki artykułu „SOS" i to w sprawach bezpośrednio z tym artykułem nie związanych. Bardzo to niesmaczne, nie taktowne i gruboskórne, zwłaszcza u człowieka, który zarzuca brak taktu innym. Ale jak mówi przysłowie: „Czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał".

Chodzi mi natomiast o — jak pisze ob. Łabudzki — „sprawiedliwą ocenę pracy CWF" której on sam nie potrafił dokonać. Na taką ocenę, mądrą, rzetelną, uwzględniającą potrzeby widza kinowego, a nie tylko jakiejś instytucji nadal wszyscy czekamy.

J. Ł.

Ponieważ nie chcę uchodzić za szukającego „popularności i poklasku" podpisuję się inicjałami, nazwisko pozostawiając do wiadomości Redakcji.

Świat w obiektywie

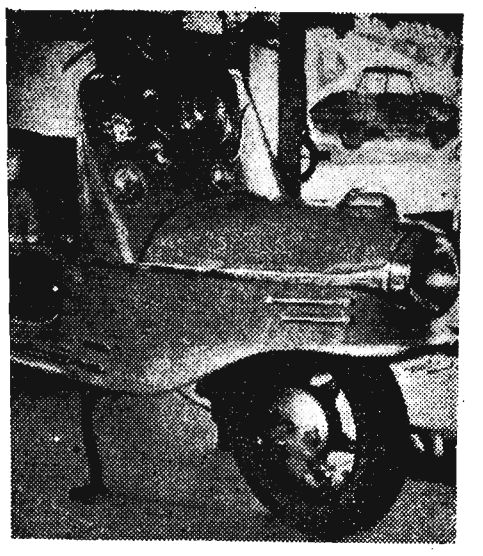

Skutery na Zachodzie zdobyły sobie już wielką popularność. U nas w Warszawskiej Fabryce Motocykli robi się już próby z prototypem tego niezwykle praktycznego pojazdu. Na razie trudno pisać o jego zaletach technicznych, jednak zdjęcia prototypu wskazują, że wyglądem będzie on znacznie uboższy od swych zagranicznych krewniaków, nabierających coraz piękniejszych i opłynowych kształtów. Na zdjęciu: Skuter czechosłowacki.

Nie! Ten leżący młodzian wcale nie jest pijany! To tylko „styl" gry amerykańskiego zespołu „Comets", który przybył niedawno na występy do Londynu. Zespół ten gra wyłącznie „Rock and roll", a kierownikiem jego jest Bill Haley, drugie po Elvisie Presley'u bożyszcze miłośników tego rodzaju muzyki.

Bill podbija nie tylko młodzież amerykańską czy angielską, która zgotowała mu owacyjne przyjęcie (zdjęcie obok). Jego nagrania posiada również Polskie Radio i audycje, w których je usłyszeliśmy wywołały duże zainteresowanie.

We Francji zakończono prace nad nowym filmem pt. „Najlepsi muszą umrzeć".
Na zdjęciu: Corinne Calvet grająca jedną z czołowych ról.

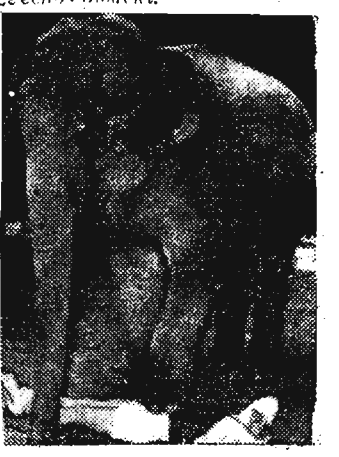

Ładna zabawa! Gdy weźmie się pod uwagę fakt, że ten „kawaler" łaskocący swoją partnerkę waży tylko... dwie i pół tony trzeba podziwiać kogoś, kto odważa się na tego rodzaju „pieszczoty". Pani Joan Fowles, która popisuje się tym cyrkowym numerem, czuje się jednak zupełnie pewnie i śmiechem reaguje na dotyk potężnej nogi.

Nie trudno zgadnąć

Dalszy ciąg zagadek dotyczących „Turnieju szaradzistów" z nagrodami, ogłoszonego w Nr 1/345 „Nowin Tygodnia".

KRZYŻÓWKA (4 PKT.)

(Wg pomysłu Stanisława Kłosa z Rudnika n/S.)

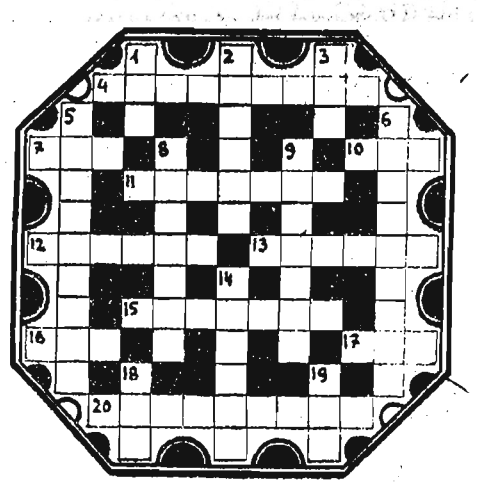

Poziomo: 4. kłopot, skrępowanie, 7. pierwiastek chemiczny, 10. bywa w maszynie i w twierdzy, 11. rodzaj wędliny, 12. naczynie w języku ludowym, 13 coś z szachów, 15. uczta pijacka, 16. zdarzenie nie umotywowane historycznie, 17. jedno i drugie razem, 20. częste imię polskie.

Pionowo: 1. prawie krewny, 2 tajemnica, 3 dopływ Tybru, 5 sztuka dowodzenia wojskiem, 6 dawny świecznik, 8 człowiek uległy, słaby lub model, 9. była „granatowa", 14. kwitnie na wiosnę, 18. liczba, 19. rzeka znana w naszym województwie.

ZAGADKA (1 pkt.)

Pierwsza zaprzecza, druga się zgadza,
Trzecia — to tylko jedna litera —
Razem coś, po czym źle się człek czuje,
Choć się popełnia, to jednak nie raz.

Za rozwiązanie tych zagadek przysłane do 14 dni pod adresem Oddział „Nowin Rzeszowskich" w Przemyślu, gmach MRN, wyznaczone są do rozlosowania 3 nagrody (bony książkowe).

Rozwiązanie krzyżówki geograficznej z nr 1/345.

Poziomo: Górne, Oslo, Łyna, Amnok, Kabul, Nogat, Tokio, Seneg(-al), Rawka (wspak), Skag(-errak), Aden, hotel.

Pionowo: Ustka, Goa, Ren, Ełk, Onega, Malbork, Ognista (Ziemia), Ket, Byk, Gan, Tag, Osaka, Eubea, AGH, WAT, rel (Ural).

Nagrody wylosowali:

I. Edward Karaś — Lubaczów,
II Monika Banach — Jasło,
III Jarosław Plutecki — Gliwice.

Nagrodę autorską otrzymuje: Michał Wiatrowicz — Stalowa Wola.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

1) Na zapytania szaradzistów — autorów wyjaśniamy, że:

Dobra krzyżówka winne zawierać jak najmniej pól czarnych i krótkich (a zwłaszcza dwuliterowych) wyrazów, a jak najwięcej długich.

Kontury krzyżówki nie powinny być zbyt powycinane.

Unikać tak wyrazów oklepanych, jak i zbyt trudnych do odgadnięcia lub odszukania w podręcznikach, zaś określenia podawać krótkie, lecz dosadne i ewentualnie dowcipne.

Pożądany jest (jak i do innych zagadek) rysunek wykonany czysto tuszem.

2) Określenie pod tytułem nadesłanej zagadki „Według pomysłu..." oznacza, iż dana zagadka z jakichkolwiek względów została w mniejszym lub większym stopniu przerobiona z zachowaniem zasadniczego pomysłu autora. W pozostałych wypadkach podajemy: „Nadesłał N. N.".